DZIŚ I JUTRO



MIESIĘCZNIK ILUSTROWANY DLA MŁODZIEŻY

Nr. 2. Październik 1933. Rok. X.

DZIŚ I JUTRO

PISMO DLA MŁODZIEŻY

ROK X. KRAKÓW, PAŹDZIERNIK 1933. NR. 2.

MAŁOPOLSKA WSCHODNIA.



Marszałek Piłsudski wśród attachés wojsk.

UROCZYSTOŚCI PAŹDZIERNIKOWE W KRAKOWIE

Kraków witał gości w swych murach: Głowę Państwa, Ignacego Mościckiego — Marszałka, Józefa Piłsudskiego — dostojny Rząd — ciało dyplomatyczne — Gości z zagranicy — Władze sąsiednich miast, ludność okoliczną.

Padł rozkaz z gmachów Ministerstwa Spraw Wojskowych, by pułki kawalerji — strzelców — ułanów hen z pod Lwowa, Poznania i Warszawy stanęły pod murami Krakowa w dniu 6. X. b. r.

Twórca legjonów, ukochany przez mnogich, budowniczy państwa chciał rewją i defiladą wojska uczcić dzień chwały wojsk polskich pod Wiedniem.

Błonia, na których przed 250 laty Król Jan III. Sobieski odbył przegląd

wojsk przed wiekopomną swą wyprawą niech będą miejscem pierwszej generalnej rewji w wyzwolonej Ojczyźnie.

A prastary nasz gród niech ma możność oddać hołd Wodzowi i wojskom tak niedawno okrytym chwałą wyzwolenia Polski.

Wspomnienia zwycięskich i bohaterskich bojów wzmożone bohaterstwem ostatniej wojny stanowią sumowaną potęgę bohaterstwa. Tą chwałą i radością tętnią serca tych, w których polska krew pulsuje.



8 pułk ułanów im. Ks. Józefa Poniatowskiego.

Duch rycerzy z pod Wiednia, Kirholmu i Samosierry — ożył — spotężniał w ostatniej wielkiej wojnie dokonał cudownego zwycięstwa. Godnie będzie uczczony oswobodziciel chrześcijaństwa gdy Mu hołd złoży oswobodziciel Polski. To o czem śnił komendant Józef Piłsudski gdy w r. 1914, w szarym płaszczu legjonisty opuszczał Kraków na swej kasztance zdążając do Kongresówki, niech stanie Mu jako rzeczywistość i prawda dziejowa.

W dniu święta kawalerji krył twórca legjonów blask swej chwały za zwarte szeregi jazdy, zniknąć chciał wódz-weteran w cieniu młodych dowódców armji. Na front wysuwa Marszałek postać Sobieskiego — chce Jemu oddać hołd. Wielcy ludzie umieją docenić wielkość czynów innych — a bohaterstwo własne zasłaniają bohaterstwem poprzedników i następców. Lecz Kraków docenił kogo gości. Wystąpił w całem pięknie i majestacie, by uczcić najdostojniejszych i najzasłużeńszych Obywateli Państwa.

* * *

W wigilję dnia, południowym pociągiem w otoczeniu rodziny i władz wojskowych, przybył Marszałek Piłsudski — skierował kroki swe na Zamek — zwiedził katedrę wawelską i podążył z wizytą do J. E. Księcia Metropolity Sapiehy. — Wita i raduje się ludność miasta, a wojsko owacyjnie przyjmuje swego wodza.

Wieczorem zjechał Pan Prezydent R. P. Wiwaty się rozlegały — trąby oznajmiły przybycie dostojnego gościa — oddział ułanów eskortuje auto pre-

zydjalne — delegacje organizacyj i szkół ze sztandarami utworzyły szpaler.

Powitanie Głowy Państwa przez Głowę miasta miało miejsce w barbakanie fantastycznie oświetlonym gazem w formie łuczywa płonącego. Noc całą wieże prastarych świątyń — Wawel — pomniki i gmachy tonęły w świetle efektownych reflektorów. Zdala widniał Kopiec Kościuszki rzęsiście iluminowany jak kopuła świetlana — jasna — przejrzysta...

Koncerty orkiestr pułkowych przepełniały ciche zazwyczaj zakątki ulic. Miasto dumne przeszłością — śniąc, że się stało znów Stolicą Polski, radosne chwilami które przeżywa — cichnie — milknie — zasypia...

Wczesnym rankiem zbudził mieszkańców dźwięk fanfar i pobudek ułańskich. Dzień wielki się zbliżył pełen radości i chwały. Przybyły z okolicznych obozów pułki i płynęły poprzez ustrojone ulice. Witali je mieszkańcy owacyjnie, poznawali po barwach, cieszyli się niemi, słychać było głosy: „Wszak to mój pułk, w nim krew przelewałem, walczyłem, zwyciężyłem z nim". Około godziny 9-tej ruch zwiększył się na Stradomiu przy kościele św. Agnieszki. Chór śpiewał kantatę „Podaj, błagamy Cię Panie, słudze Swemu Prezydentowi Rzeczypospolitej prawicę niebieskiej pomocy"... Świątynia wykupiona przez Komitet Obywatelski z rąk innowierców, staraniem Ks. Dziekana D. K. Dr. Zapały odnowiona, dumnie wspomina czasy niewoli, gdy z niej uczyniono skład rupieci i żelaziwa. — Mszę św. odprawił J. E. Biskup polowy Ks. Gawlina, a wszyscy wznosili ku niebu wdzięczne „Gloria" za dzień dzisiejszy — za wyzwolenie Polski — za wodzów i wojsko — za Głowę Państwa.



8 pułk ułanów

* * *

W tym czasie 12 pułków kawalerji ustawiło się na Błoniach. Tam tłumnie zdążał cały Kraków, a pociągami nadzwyczajnemi zjeżdżali goście zdaleka. O 11-tej na Błoniach naprzeciw trybun zapełnionych widzami ustawiały się pułki w szyku następującym:

1 pułk Szwoleżerów, proporczyki białe z paskiem czerwonym — pułki 7 Ułanów lubelskich i 15 bohaterskich Ułanów poznańskich na ślicznych białonogich kasztankach, 20 pułk im. Sobieskiego z Rzeszowa, 17 pułk Ułanów wielkopolskich, 24 pułk Ułanów wsławiony pod Lwowem, 1 i 10 pułk Strzelców konnych związany z historją Armji Gen. Hallera, 4 pułk Strzelców konnych, 3 pułk Ułanów powstały na gruzach b. armji rosyjskiej, 3 pułk Strzelców konnych powstały z Orląt lwowskich, 8 pułk dzieci krakowskich ułanów Ks. J. Poniatowskiego. Orkiestry grały, lance w słońcu migały, proporczyki barwne wzrok porywały, jasno, gwarno, słonecznie, kolorowo na Błoniach. O 12 $1/2$ u wylotu ulicy Marsz. Piłsudskiego mknęły samochody. Na Błonia przyjeżdża P. Prezydent, Marszałek ze Swego podjum salutuje i padają rozkazy; rozpoczyna się rewja i długa defilada dwunastu pułków.

Każdy pułk to istny obraz Kossakowy — to samo życie — barwność tonów. Dowódca na przodzie — za nim poczet sztandarowy na rasowych koniach. — Dalej w odstępach szwadrony, na czele każdego rotmistrz — opodal na siwych koniach orkiestry pułkowe do marszu przygrywały. Proporczyki o barwach pułku szeleszczą nad głowami jeźdźców. W koniach tętni krew przodków arabów z polskich dawnych stadium ukraińskich.

Po skończonej rewji chwila przerwy — powitanie, zbliżanie się dygnitarzy naszych do wszystkich, którzy się do nich zbliżyć zdołali przerywając kordon bezpieczeństwa. — Na Błoniach obchód zakończony.

* * *

Nie koniec dnia... Prochy Króla Jana III Sobieskiego nawiedzili nasi Najdostojniejsi Goście. Podążyły auta do katedry — tu Książę Metropolita witał u wejścia — chór zaintonował „Te Deum" — Goście zeszli do Krypty — salwa honorowa — 21 wystrzały. Dzwon Zygmuntowski uderza i dzwoni — dzwoni... długo — rozgłośnie. — Za nim rozdzwoniły się wszystkie dzwony krakowskie ku czci prochów zmarłych i bohaterów naszych czasów...

Wieczorem w Teatrze im. Słowackiego odczyt Generała Wieniawy-Długoszewskiego zgromadził liczne wyborowe audytorium.

Późno wieczorem odbył się raut na Zamku urządzony przez P. Prezydenta na którym byli obecni Przedstawiciele Rządu — ciała dyplomatyczne, Władze organizacyj i Społeczeństwa.

Wśród gości zaproszonych przesuwają się delegacje włościańskie i niżsi urzędnicy miasta. Władze wojskowe najliczniej przedstawione. — Wszak to święto jazdy polskiej. P. Prezydenta przeszedł wszystkie sale recepcyjne, a Prezydent miasta przedstawiał Głowie Państwa wybitniejsze osobistości. — Tak przeszedł dzień przeżyć podniosłych, niezatarty w pamięci Krakowa — pełen znaczenia dla dalszych dążeń, dla służby Ojczyźnie i sprawy mocarstwowej Polski. *M. K.*

WIELKI DZIEŃ WARWARKI

Warwarka [1] siedzi na wysokiej ławie, obok okna i rozplata warkocz. Rozplata ostatni raz. Jutro obetną jej włosy jak nowistce[2] przystało. Zaczesze się gładko za uszy i nakryje głowę chusteczką. Nie będzie już wplatać we włosy kolorowych wstążek, nie będzie patrzyć, która z dziewcząt ma dłuższe i grubsze od niej warkocze, nie będzie...

Warwarka wzdycha żałośnie. Żal jej warkocza. Ale żal rozpływa się zaraz w uczuciu radości i dumy. Od jutra będzie panią na swojem, gospodynią we własnej chacie. Dziewuchy będą jej pierwsze mówić na drodze: „Sławe Jezusu Christu", a ona im będzie odpowiadać poważnie: „Na wiki slawa".

Nie będzie już oczu wypatrywać za chłopakami i wzdychać i płakać, czy też im się podoba, czy też ją który zechce. Będzie wiedzieć, że ją sobie upodobał i wybrał jeden. Wybrał z pomiędzy wszystkich dziewcząt w Somańczy i sąsiednich wsi. Że ona jest mu jedyna i najlepsza. Że już jej nie opuści, aż do śmierci, według świętej przysięgi.

Warwarka uśmiecha się. Przed oczami staje jej jak żywy Dmytro, ten, o którym już jutro powie: „mój czołowik [3].

Jutro Warwarki wesele.

..Po izbie kręcą się dwie rumiane dziewuchy. Składają na stole całą górę wstążek, paciorków, sztucznych kwiatków, świecidełek, między tem wiją się zwoje cienkiego drutu.

Jedna z dziewcząt pyta śpiewnie:

— Warwarka, a szczoż ty tak zadumała sia?



Warwarka spuszczając oczy prosi na wesele.

— ...a wże[4] tak...

— No, wże treba robyty toj horonu.

Warwarka przysuwa się do nich i opuszcza nisko głowę. A one zaczynają upinać na niej te wszystkie błyskotki i kwiatuszki. Związują to potem, przymocowują silnie do głowy, wplatają we włosy. Czasem szarpną mocno, ściągną boleśnie kilka włosków, aż Warwarka syka i w oczach jej stają łzy. Ale to nic. Tak trzeba. Będzie w tej koronie chodzić aż do końca wesela. Dotąd, dopóki jej włosów nie utną. A to ciąży, a ciągnie, że strach. Ale cóż? Trza.

Po godzinie cierpliwej pracy na głowie Warwarki piętrzy się błyskotliwa i barwna korona.

— No, wże bude — mówi zadowolona Fawrona.

Niebieskooka Maryjka spogląda na Warwarkę z zachwytem i zazdrością.

— Ach, dużo fajno [5] — wzdycha z podziwem.

Warwarka przegląda się w małem lusterku i kiwa głową z uznaniem dla swej urody.

— No, dajte mene toj nowu soroczku [6] — mówi nareszcie.

Obie drużki pomagają Warwarce ubie-

---

[1]) Barbarka [2]) mężatce [3]) mąż [4]) już [5]) bardzo ładnie [6]) koszula.

rać się. Wciągają ostrożnie przez głowę cienką lnianą koszulę, haftowaną na ramionach i mankietach bufiastych rękawów. Potem podają jej spódnice.

Trzy spódnice, jedna na drugą, na wierzch ta malinowa, na to zielona zapaska[1] pięknie naszyta barwnemi tasiemkami. Potem okręcają Warwarkę czerwoną krajką[2], tak że jest cienka w pasie, niby osa. A potem jeszcze zwieszają na szyi koraliki, paciorki, od szyi, gęsto, aż do pasa prawie. Z tyłu pęk wstążek. Warwarka błyszczy się cała i mieni aż się w oczach ćmi.

* * *

Warwarka idzie teraz drogą przez wieś, ze swojemi drużkami. Idzie do wszystkich po błogosławieństwo i z zaproszeniem na wesele.

Najpierw do dworu. Bo jakże? tak się należy.

Na ganku pan i pani. Warwarka całuje najpierw panią w rękę. Pani mówi:

— Niech cię Pan Bóg błogosławi.

Warwarka buch. na kolana, głowę w błyszczącej koronie chyli do samej ziemi. Podnosi się zaraz i znów panią w rękę całuje.



Hucuł *rys. Kędziora*

Pani znów mówi:

— Niech ci Pan Bóg błogosławi.

Warwarka znów pada pani do nóg. I jeszcze trzeci raz.

Potem z panem to samo.

Nareszcie spuszczając oczy, skubie z zakłopotaniem zapaskę i cała zarumieniona prosi na wesele.

Państwo obiecują, i tymczasem dają Warwarce „na szczęście" pięć złotych. A w kuchni piecze się dla niej horowaj[3]. Bo przecie do roboty na pańskie nieraz wychodziła, to jej się należy.

Warwarka uradowana idzie dalej. Teraz do wójta, potem do dziadków, potem do chrzestnej matki i do wszystkich na wsi wedle starszeństwa. Ma Warwarka robotę do wieczora, i to niebyle jaką. Trzeba przed każdym pochylić się do ziemi trzy razy. Robota gorsza niż żąć w polu — cały dzień. Ale cóż? Wesele raz w życiu.

Wraca Warwarka do chaty trochę spłakana ze wzruszenia i zmęczenia, trochę szczęśliwa. Kładzie przed matką uzbierane pieniądze. Liczą. Drużki układają na stole podarki od życzliwych ludzi: a to kilka jaj, a to kawał kiełbasy, a to osełkę masła.

Wieczór mija i noc nadchodzi. Warwarka nie śpi. Bo i jakże spać w koronie, która się nie da zdjąć z głowy? I jeszcze dość roboty...

* * *

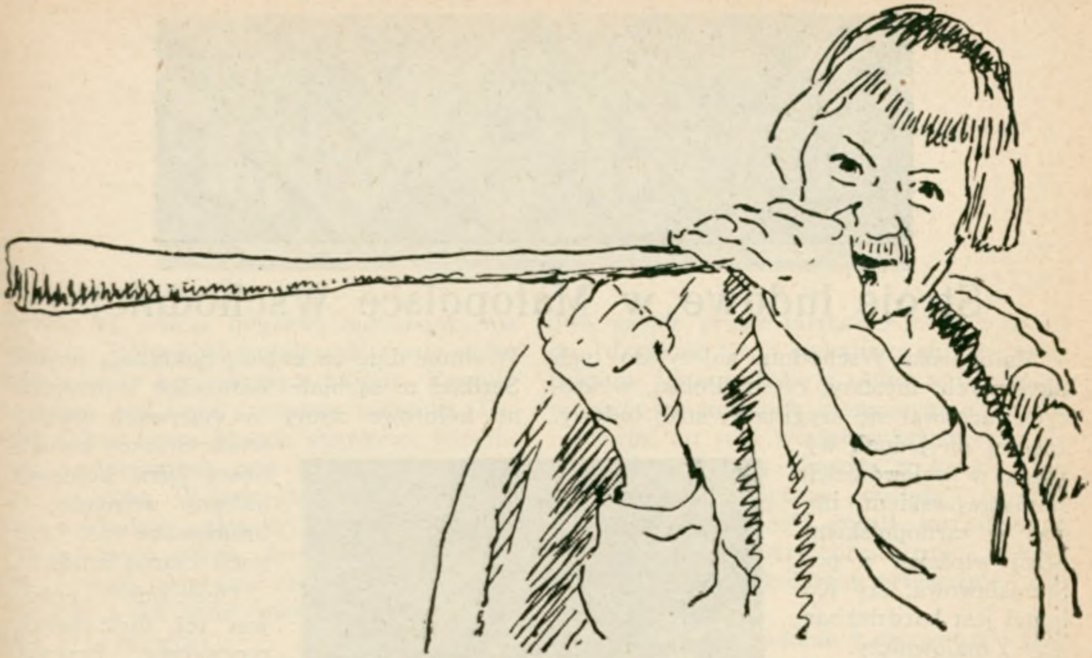
Gra muzyka, gra, aż się w głowie mąci. Gra tak już od rana. Piszczały skrzypce, dudniły basy, gdy wesele jechało do cerkwi. Ucichła tylko na chwilę, jak ksiądz ślub dawał. Bo musi być cicho, żeby Bóg przysięgę słyszał.

Lecz potem, gdy wracali, rozlegała się ta muzyka weselna po drogach i polach Semańczy, het aż pod las.

Rozlegała się potem w ciasnych izbach, w które cała wieś się wtłoczyła. Goście pili wódkę, — muzyka grała. Jedli mięso i horowaje — muzyka grała. Szła do tańca Warwarka z Dmytrem — muzyka grała.

Aż się powietrze trzęsło od cienkiego chichotu skrzypiec, aż szyby drgały, gdy

[1]) fartuch [2]) długi pasek [3]) ozdobny placek weselny.



Hucuł grający na trombicie *rys. Kędziora.*

huczał bas. A te flety i piszczałki śpiewały głośniej, niż wszystkie dziewuchy w Semańczy.

Grała tak muzyka cały dzień, gra i teraz.

Księżyc wytacza się już na niebo i patrzy wdół. Zagląda na podwórze. A tam ruch. Wynoszą ławy i stoły, zapalają wielkie ognisko, na drzewach zawieszają latarnie. Muzyka zaczyna grać na podwórzu, donośnie, radośnie. Aż do księżyca dochodzą jej dźwięki...

A goście tańczą. Tańczą w ciasnem kółeczku, jedna para za drugą. Każdy chłopak trzyma dziewuchę oburącz wpół, ona mu kładzie obie ręce na ramionach.

I tańcują. Rytmicznie i spokojnie. Kiwają się na boki, przytupują, czasem chłopaki wykrzykną coś chórem, nie szaleją, nie miotają się. Suną w kółko, kręcąc się, równo a z siłą i życiem. Ruchem takim, jak chłop rżnie zboże, a wiatr ugina fale kłosów.

Warwarka z rozpuszczonemi włosami tańcuje teraz z każdym pokolei.

Starzy stoją kołem, patrzą, kiwają głowami, podziwiają:

— Ot, dużo fajna, bude z nij mołodycia.

Matka Warwarki popłakuje czegoś, może żal jej doczki[1], co ją już opuszcza, nahodowała jej się, nahodowała...

Już świta.

Drużki wyciągają Warwarkę z tanecznego koła. Czas już włosy obciąć, przenosiny robić. Warwarka płacze. Spogląda na gasnące ognisko, na podwórze pełne ludzi. Wnet opuści to wszystko... Zostawi matkę, chatę, podwórze, krowy, kury, prosiaki...

Tylko ludzie za nią pójdą. Będą tańczyć jeszcze jeden dzień w chacie młodych, będą się cieszyć ich weselem.

Drużki ciągną ją za rękę.

Warwarka płacze. Żal jej wszystkiego, żal i włosów, rozpuszczonych po plecach.

Przez łzy widzi śmiejącą się twarz Dmytra. Uśmiecha się też. Drużki wprowadzają ją do izby.

Wstaje nowy dzień.

Marja Walter Croneck.

---

[1]) córki.

Stroje ludowe w Małopolsce Wschodniej.

Małopolska Wschodnia należy do tych nielicznych, niestety, części Polski, w których zachował się oryginalny strój ludowy. Inaczej on jednak wygląda w województwie stanisławowskiem, inaczej w tarnopolskiem. Strój włościan z pod Stanisławowa, czy Kołomyi jest bardziej barwny i malowniczy.



Kobiety kochają się tam w barwach silnych, intenzywnych. To też nigdzie może nie widuje się w ubiorach tak śmiałych połączeń kolorystycznych Spódnice i fartuchy z jaskrawych gładkich materjałów, co potęguje jeszcze ich barwę. Koszule z płótna lnianego, lub konopnego własnej roboty, ozdobione na ramionach i mankiecie haftem, przeważnie krzyżykowym. W hafcie tym występują zwykle trzy kolory: czarny, czerwony i żółty. Rękawy koszuli szerokie, marszczone w przegubie ręki i zebrane ciasno, co tuż przy dłoni tworzy kunsztowną kryzę. Na szyi mnóstwo koralików, błyskotek, paciorków. W pasie okręcają się ,,krajką". Jest to długi wełniany pasek. Zwykle czerwony, przetykany nicią czarną i żółtą, tworzy ona jakby osobny wzór kilimowy. W zimne dnie na koszulę nakładają serdak. Serdaki te są białe. haftowane w przepiękne kolorowe wzory o motywach kwiatowych. Starsze kobiety noszą luźne kolorowe kaftany wełniane, obramowane po brzegach czarną lamówką.

Uczesanie kobiet jest też dość charakterystyczne. Przywiązują do niego dużą wagę i nie zdarza się prawie widzieć między niemi głów zaniedbanych, rozczochranych.

Do elegancji należy mieć głowę wysmarowaną tłuszczem. Wszystkie dziewczęta noszą warkocz i grzywkę, którą układają na czole w dwa misterne ,,ślimaki". Trzyma to się mocno, przylepione smalcem, a nawet białkiem. Często spotyka się też ,prostą grzywkę, ściętą dokoła głowy, nawet na karku. Dopiero z wierzchniej warstwy włosów splatają warkocz, na końcu którego umieszczają pęk wstążek. Wszystkie mężatki mają obcięte włosy, które zakładają za uszy, i chowają pod chustkę, związaną z tyłu.

Mężczyźni ubierają się w zgrzebne koszule puszczone za takież spodnie. Koszule



męskie są jeszcze bogaciej haftowane, niż kobiece. Półwysoki kołnierzyk i cały przód jest pokryty krzyżykowym haftem. Koszule te wiążą pod szyją czerwoną tasiemką. Latem chłopi noszą płaskie słomkowe kapelusze, przytrzymane pod brodą rzemykiem, lub tasiemką. W dnie chłodne lub do cerkwi nakładają „sieraki", rodzaj sukmany z bronzowego sukna, domowej roboty. Sieraki bywają ozdobione czerwono-żółtem wyszyciem i pęczkami niewielkich pomponików przy zapięciu.

Stroje te nie są wszędzie zupełnie jednakowe. Każda okolica, nawet każdy powiat ma swoją „modę", która się różni od innych haftem, krojem sieraka, uczesaniem itp.

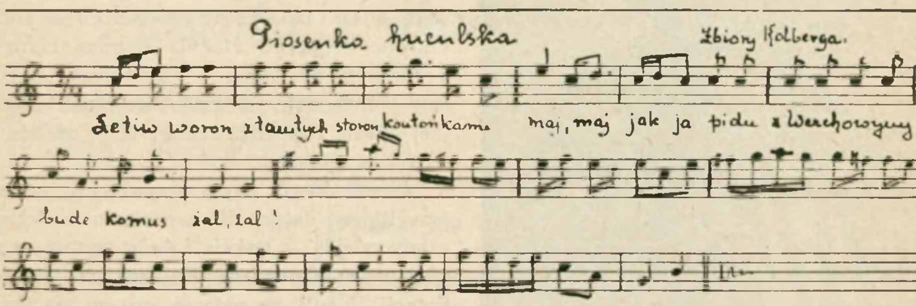
O wiele piękniejsze są stroje Huculskie. Tam mężczyźni biorą górę nad kobietami pod względem bogactwa ubioru. Kobiety bowiem na lnianą koszulę zawiązują w pasie dwa wąskie proste fartuchy, jeden z przodu, drugi z tyłu, stykające się ze sobą bokami. Są one tkane z wełny w poprzeczny wzór, w kolorach czerwonym, czarnym i żółtym, co robi wrażenie brązowego.

Głowę okręcają chustką w kwiaty. Na nogach noszą skórzane „postoły", przypominające „kierpce" górali tatrzańskich. Pończochy domowej roboty grube, wełniane w jaskrawych kolorach przeważnie czerwone.

Huculi noszą spodnie z czerwonego sukna. Koszula przepasana szerokim (20—30 cm.) pasem skórzanym nabijanym suto blaszkami i gwoździkami. Kapelusz czarny filcowy, otoczony kilkakrotnie wełnianemi, barwnemi wałkami. Serdak ozdobiony haftem i błyszczącemi blaszkami. Podobne serdaki noszą też kobiety, lecz nie tak bogate.

M. W. C.

Piosenka huculska



Letiw woron z tamtych storon
Krułońkami maj, maj.
Jak ja pidu w Werchowczyny
Bude komuś żal, żal!

KARPACCY GÓRALE

Wśród górali Karpackich, znacznie między sobą różniących się wyglądem zewnętrznym, rodzajem pracy i usposobieniem, specjalnie ciekawą odrębność etnograficzną przedstawiają Huculi.

Cechy ich rumuńskiego pochodzenia zacierają się pod wpływem sąsiadujących narodowości: węgierskiej polskiej, a zwłaszcza ruskiej.

Silnie zbudowani, wzrostu wysokiego, cery smagłej, mają Huculi oczy i włosy czarne, są swobodni w ruchach i zręczni, odważni, zuchwali nawet, do pracy ciężkiej nie zbyt skorzy, odznaczają się wybitnem poczuciem piękna.

Barwne stroje mężczyzn i kobiet — haftowane serdaki, kieptary, szerokie bundy, wąskie niewieście zapaski, lub długie, podwinięte foty — harmonizują z bogactwem piękna otaczającej ich przyrody. Koczujące niegdyś pędząc życie — od czego niektórzy ich nazwę wywodzą — osiedli Huculi w najpiękniejszym zakątku górskim, na północnych stokach Beskidu Czarnohorskiego, od Białego Czeremoszu do rzeki Łomnicy.

Centrum Huculszczyzny stanowi gmina Zabie, nad Czarnym Czeremoszem. Znany jest Pistyń



Hucułka z Tatarowa. *E. Doubrawa.*



Hucuł z okolic Zabiego. *E. Doubrawa.*

i Jabłonów i Szeszory, gdzie Polacy znaczny procent mieszkańców stanowią, Jaworów sławny artystycznemi wyrobami, znamienite Kuty, od których miało wziąć nazwę rozciągające się za niemi Pokucie, — jego starożytna stolica, wesoła Kołomyja i te obco brzmiące Rongury, Akresory, Brustory itd.

Wsi huculskie budowane są przestronno, jedna chata zdala od drugiej, otoczona sadem owocowym, gdzie i pasieki nie braknie. Ornej roli mało. Główne bogactwo Hucuła stanowi chów owiec, a rozkoszą są konie — specjalnej „huculskiej" rasy koniki małe, ciemno kasztanowate, o kształtnej głowie i mocnych nogach — mistrze wśród wertepów górskich, skał i przepaści.

Szczerze do gór swych przywiązani, nawet biedą przyciśnięci, daleko dla zarobku nie odchodzą — a gdy odejdą — tęsknią i świat szeroki nie ma dla nich uroku. Opowiada Kolberg, że przybyli do Francji Huculi, na pytanie, czy im się Paryż podoba odpowiedzieli: „Lipsz u nas w Kołomyi".

* * *

Wręcz przeciwne cechy znamionują Bojkow, tak przez Huculów pogardliwie nazwanych mieszkań-

Dzwonnica przy cerkwi w Tatarowie. *mal. E. Doubrawa.*



Emiljan Doubrawa, za mało znany a wysoce utalentowany artysta, uczeń Mehoffera i Fałata w Krakowskiej Akad. Sztuk Pięknych. Z upodobaniem oddaje się odtwarzaniu życia Huculszczyzny, posługując się przeważnie techniką akwarelową. Stare chaty huculskie i kapitalne w swym wyrazie głowy Hucułów i Hucułek to środowisko, w którem jego talent najchętniej się obraca

ców górzystych okolic od Czarnego Lasu i rzeki Łomnicy aż po źródła Sanu i Dniestru.

Bojkowie o cerze jasnej, siwych oczach, rudawych włosach, wzrostem są mniejsi od Hucułów, ale zgrabniejsi od nich i żwawsi.

Strój ich — czarny sierak wyżej kolan, bunda włóczką wyszywana i koszula wąską mereszką ozdobiona — nie jest barwny jak huculski. Upodobnia on się do szarej ziemi, którą Bojko z zamiłowaniem uprawia na zagonach pod samą chatę i obejście gospodarskie podchodzących. Drzew owocowych mało sadzi, ale gdy ziemia zawiedzie, gdy rola spodziewanego plonu nie wyda i biedą grozi — energiczny i rzutki Bojko sprowadza owoce węgierskie i w Polsce je zbywa. Pośredniczy w handlu albo samodzielnie pracuje. W miastach na rogach ulic, ustawia stragany i pod osłoną szarego wielkiego parasola częstuje przechodniów różnego rodzaju smakołykami.

Piosenka z okolic Stanisławowa.

Hańdziu luba, Hańdziu myla
czym ty browy namastyła?

Namastyła koperwasom
szczob duryty chłopciw czasom.

Ale chłopci ne durnii,
ne dywiut sia chot czarnije.

Huculskie wskazania lekarskie.

Przeciw febrze. Żabę zawinąć w lniany płatek, wsadzić za pazuchę, trzymać póki nie zdechnie. Wtedy febra odejdzie.



Przebój Prutu w Jaremczu.

J a r e m c z e największa i najpiękniejsza stacja klimatyczna w Dolinie Prutu. Położona na wysokości 525 m nad p. m., w odległości 66 km na południe od Stanisławowa.

Figiel Bronka

Było nas na czwartym roku trzech serdecznych przyjaciół: Bronek, Stefek i ja. Stefek dzielił ze mną dole i niedole kawalerskiej gospodarki, Bronek ze względów rodzinnych przemieszkiwał u swej ciotki, niewiasty zacnej, i wielce bogobojnej, która jednak teroryzowała swego potulnego siostrzeńca w sposób niemożliwy.

Wakacje spędzaliśmy rozmaicie — najczęściej Stefek gościł u mnie, gdyż jego rodzina

D e l a t y n — miasto w pow. nadwórniańskim 58 km od Stanisławowa. Zakład kąpieli solankowych ściąga licznych kuracjuszów. Przed wojną była wielka warzelnia soli.



mieszkała aż koło Żywca; Bronek zazwyczaj nie rozstawał się z ciotką.

Pod koniec czerwca pojechaliśmy obaj ze Stefkiem do moich ojców, zostawiając Bronka na gospodarstwie. Mieliśmy niezadługo wracać do Lwowa, aby zabrać się do pisania prac i „kucia" ostatnich egzaminów. Tymczasem pisze nam jeden z kolegów, że termin egzaminów i oddania pracy przyśpieszony — „wracać i brać się do roboty".

Pierwszym pociągiem zajechaliśmy do Lwowa i dalej do cioci po klucze do mieszkania. — Zacna dama powitała nas z otwartemi rękoma. Usadziwszy w salonie, nakarmiwszy herbatą i sucharkami, oznajmiła grobowym tonem, że ten łotr Bronek wyjechał przed tygodniem do Truskawca lub jednego z uzdrowisk nad Prutem (ale nie powiedział do którego) i ślad po nim zaginął. Wymienił szereg letnisk w pozostawionym liście i wyjechał potajemnie — bez opieki...

— Poważnie obawiam się o jego losy — ciągnęła ciocia — czy uniknie rąk bandytów? — Poczem jęła rozwodzić się nad swą bezsilnością, niewdzięcznością Bronka etc. etc. — wreszcie z całej tej 2-godzinnej tyrady dorozumieliśmy się, że Bronek zabrał notatki, przybory, książki, klucze naszej kawalerki — i wsiąkł. Pożegnaliśmy wreszcie babinę i gdy znaleźliśmy się na ulicy, Stefek zaklął.

— Żeby go bestja! — jak go wydostaniemy?

— Daj ogłoszenie na policję — może kto zgubę wyrwał z rąk bandytów — niech odda nieutulonej ciotuni.

— Żartuj zdrów — egzamin czeka...

— Nie bój się — nie zginie! narazie chodźmy do domu.

— Poco? — notatek niema, kluczy niema — stróż nam naurąga — poco?

— Racja! słuchaj, wiesz co? jedźmy go szukać!

— Zwarjowałeś? czy ci herbatka uderzyła do głowy?

— Słuchajże spokojnie — mamy czas i forsę. Ja syn kolejarza, ty masz zniżkę akademicką, pojedziemy jak uczciwi ludzie III-cią klasą, zanocujemy u jakiego chłopa — i zrobimy pyszną wycieczkę. Bronka przyciągniemy do Lwowa za uszy — no i co?

— I nic! — jak go znajdziesz mądralo?

— Przecież się musiał zameldować!

— Et! a zresztą — na twoją odpowiedzialność.

— Więc jedziemy. Czekaj — jak on to pisał ciotuni? Truskawiec — albo: Dora, Tatarów, Jaremcze, Worochta i Kosów, — przysiągł ciotce, że do żadnej innej dziury nie zajedzie. — Pytamy o Bronka Szpekowskiego ze Lwowa itd.

— Bene. Jedziemy.

Jakoż ruszyliśmy w drogę. Na pierwszy ogień wzięliśmy bilety do Truskawca, bo najbliżej. Zajeżdżamy, ludzi pełno, popijają „naftusię" kąpią się, grzeją, spacerują... Szukamy, chodzimy do zakładu, na policję — nic. Więc do wagonu i jazda dalej na wschód. Mijamy Stanisławów i ruszamy na południe. Dora. — Okolica jak marzenie, lasy, góry — ale Bronka ani śladu.

Posuwamy się dalej wzdłuż Prutu: Tatarów i tu nic. W Worochcie i Jeremczu także nic. W Jeremczu wypadło nam zabawić dłużej. Śliczna to miejscowość wybraliśmy się więc do sławnego wodospadu. Jesteśmy u celu. Widok przecudny, stajemy oczarowani, nagle Stefek daje mi szturchańca.

— Patrz! Bronek! —

— Ja — jako, że na odległość widzę gorzej od kreta wierzę jego słowom i suniemy do szaro odzianego osobnika, który nad wodą pilnie coś studjuje.

— Ha! mam cię ptaszku! — woła Stefek chwytając go za ramiona — — ojoj! co to? Z kamienia zrywa się jakiś potomek Izraela: — Wu sys dues? Co jest? Policja! Gewałt! Ledwośmy go uspokoili i cokolwiek skompromitowani zawróciliśmy na stację.

Jazda do Delatyna zpowrotem, a potem przez Kołomyję do Kosowa, który miał być końcowym punktem naszej wędrówki. W jednej z wiosek po drodze, gdzieśmy noc spędzili opowiada nam jakaś stara hucułka z fają w zębach tajemniczą historję o panu Mołotkowskim, który z psem i strzelcem wyjeżdża bryczką z jakiejś studni w okolicy i jedzie do pierwszego krzyża.

Niema ten upiór głowy — i biada temu, ktoby wszedł mu w drogę! — Piękna to opowieść.

— Dotarliśmy wreszcie do Kosowa. Okolica przecudna, malownicza, zanurzona w lasach, w dodatku trafiliśmy na pogodę — tak pięknie, że żyć a nie umierać — ale o Bronku ani słychu. Stanęliśmy zirytowani na środku drogi — mieliśmy już stanowczo dosyć tej przymusowej wycieczki. — Widząc nasze niepewne miny, jakiś okazały jegomość podszedł ku nam — panowie na kuracyjkę? do dra Tarnawskiego? proszę, proszę — sezon w pełni, pokoje znakomite, może panom sprowadzić wózek pod bagaże?

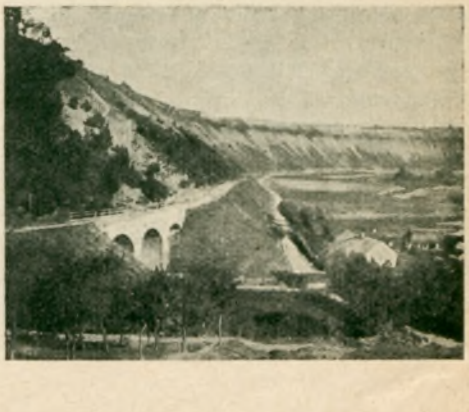
— Idź pan do licha! — burknął Stefek — a to nas ten Bronek urządził! Tyle czasu zmarnowaliśmy, wzięto nas za złodziei kolejowych w Delatynie — zwymyślał nas ten gość w Jaremczu — a ten pewno siedzi w ja-



Skalna Brama rzeki Rybnicy w ok. Kosowa.

Kosów uzdrowisko klimatyczne w wojew. stanisławowskiem 400 m n. p. m. osłonięte górami lesistemi, ma klimat bardzo łagodny 2 km od Kosowa słynny zakład wodoleczniczy Dr. Tarnawskiego.

Seret płynący wśród malowniczej okolicy, gdzie w sadach wiśniowych toną bielone chaty i pstrzą się krasne stroje dziewcząt.



kiejś dziurze i kpi tak z nas, jak i ze swojej ciotki.

Zawróciliśmy do domu — i po nie wiem ilu godzinach jazdy, stanęliśmy na lwowskim bruku. Zamieszkaliśmy w bursie — kątem u jednego z kolegów.

Jakoś w tydzień potem wędrujemy wieczorem przez Łyczaków, nagle ktoś mnie chwyta za ramię — Bronek!

— Gdzie byłeś wisielcze! Pojedynek ci wydamy. — Gdzie cię licho wyniosło?

— Ja? Tu na Łyczakowie u Zbyszka. Powiedziałem ciotce, że na letnisku, żeby mieć spokój, bo by mi zaraz na kark spadła! ale.

— A my? to co? — Notatki wziąłeś i dałeś nura, a nam ani słowa!

— Przecież wam zostawiłem kartkę w mieszkaniu i codzień chodziłem z kluczem w waszą okolicę, ale stróż mi powiedział, że jesteście jeszcze ciągle na wsi.

— Toś nas nie mógł po ludzku uwiadomić?

— Napisałem do ciebie na łono rodziny.

— Nic nie dostałem!

— Pewnie was już nie zastało — musi być u stróża w mieście.

— No, to chodźmy do mieszkania — ale niech tylko nie będzie — to zobaczysz!

Poszliśmy. Nasz Filip powitał nas w bramie.

— Panowie wracają? A tu liścik tak dawno na pana czeka...

Spojrzeliśmy po sobie.

— No, i kto z nas cymbał? — zatriumfował Bronek.

Stryj Bohdan.

WESELE ORMIANKI

Znany kupiec, imć pan Jaśkiewicz, Ormianin wrócił po dłuższej nieobecności do Lwowa.

Podróż na Daleki Wschód srodze go zmęczyła, jako, że pan Jaśkiewicz był już człekiem leciwym. Humor miał jednak doskonały. Z góry wiedział, że przywiezione wonności, kobierce, barwne jedwabie — sprzeda w Krakowie, lub gdzieindziej.

Dzięki bowiem królowi Jagielle, zbyt towarów wschodnich stanowił wyłączny przywilej kupców ze Lwowa. Sprzedawali je ci wybrańcy w całej Polsce, dorabiając się magnackich fortun.

Cieszył się tedy imci pan Jaśkiewicz nadzieją złotych zysków, chociaż miał już spory majątek. Dom pięknie urządzony, uskładaną gotówkę, murowany kram w rynku.

Wypoczywał sobie kupiec w wygodnym fotelu, popijając miód lwowski. Wtem poruszyła się ciężka kotara i do komnaty wbiegła czarnowłosa dziewczynka.

Zarzuciwszy rączki na szyję ojca, zaczęła przymilnie:

— Pozwólcie panie ojcze, że wymienię tych, których chcę prosić na moje gody weselne.

Uśmiechnął się pan Jaśkiewicz do swej jedynaczki. A ta zaczęła:

— Imci pan starosta, jejmość starościna, cztery druchny, tyleż drużbów... Stryj Łukasz, szanowna stryjna, stryjeczny, stryjeczna...

— Hola, Halszko... zaczekaj! — przerwał jej ojciec.

Zwolna, z namysłem, jął liczyć na palcach:

— Imci starostowie, druchny, drużbowie — głów dziesięć. U Łukaszów cztery — razem czternaście. Za dużo już gości, dzieweczko... Za dużo!

Czarne oczy młodej spochmurniały.

— Co to znaczy? Skądże tak nagłe skąpstwo ojcowskie?...

— Bo widzisz, Halszko! — oznajmił kupiec. — Panowie radzieć ostro przykazali, iż na weselach nie może być więcej osób szesnaście. Naliczyłaś ich już czternaście, w domu zasię jest nas czworo...

Na ślicznej twarzyczce odbiło się zdumienie.

— Panowie rajcy uchwalili ów nakaz gwoli nadmiernego zbytku, co się rzekomo rozpanoszył w mieście. Z owej też przyczyny uczta weselna może się składać tylko z czteru dań.

— Panie ojcze! Toż będziem ucztowali w sali ratuszowej... przypomniała Halszka z błyskiem nadziei.

— Panów rajców nic to nie obchodzi, gdzie my ucztować pragniemy... — zmroził ją ojciec i westchnął żałośnie:

— A dla bawienia gości, wolno sprowadzić dwóch... słyszysz, Halszka?! Zaledwie dwóch błaznów — wesołków... Opornym grozi kara... Cztery grzywny srebrem!!

Odpowiedział mu głośny szloch.

Ścisnęło się żalem serce ojcowskie. Pan Jaśkiewicz zawsze był tkliwy na łzy jedynaczki. Jakżeż mógł zobojętnieć na nie teraz, w przeddzień wylotu jej z domu?

Jął przemierzać komnatę wolnym krokiem, zatopiony w myślach. Aż gładząc długą, szpakowatą brodę, oznajmił uroczyście:

— Ha, no! Niech się dzieje wola nieba i panów radziec. Zapłacę już chyba karę... zapłacę. Ale twoja myśl weselna musi wypaść przystojnie. Jakem kupiec Jaśkiewicz! Abyś nie chowała dziewuszko, w sercu urazy, że ci rodzic czegokolwiek żałował...

Przypadła mu Halszka do kolan, obiecując w nadmiarze radości:

— Ja zaś, panie ojcze, ofiaruję Matce Bożej — mój ślubny wianek na pozłacanym łubku. Panu Bogu na chwałę złożymy z przyszłym małżonkiem, srebrną puszkę — serce na Przenajświętszą Hostję.

*

Na ślub Halszki Jaśkiewiczówner wylęgła niemal cała ludność ówczesnego Lwowa.

Jedni zachwycali się przepychem weselnej drużyny, drudzy nie szczędzili z tej racji słów oburzenia. Zdawało się, że to nie kupiec lwowski, lecz magnat z magnatów — córce weselisko huczne sprawia.

Bo też strój ślubny nadobnej Ormjanki przerabiany był złotem, kosztowny haft zdobił pończoszki i trzewiczki.

Wieniec z rozmarynu na czarnych splotach, kończył się pękiem strusich piór.

Oblubieniec wystąpił również okazale. Ciemny kontusz jedwabny ożywiały srebrne guzy i pas misternej roboty. Kołpak miał naszywany perłami i złotem, a słynne buty ormjańskie, tak lubiane przez króla Jagiełłę — czerwieniały zdaleka.

Z kościoła podążył orszak weselny do ratusza. W głównej sali czekały na gości suto zastawione stoły.

Jejmość pani Jaśkiewiczowa gotowała tam już od tygodnia przy pomocy mnogiej czeladzi, piekła, smarzyła.

Oczywiście, zamiast czterech dań przepisowych — znalazło się na stole trzy razy tyle. Zwyczajem ówczesnym przeważały ryby, suszone grzbiety jesiotra, kawior, suto oblewane lwowskim miodem i piwem. Do wieczerzy cukrowej wytoczono beczkę starego wina, podano owoce południowe, które pan Jaśkiewicz przywiózł z ostaniej podróży.

Skoczna muzyka podsycała apetyt biesiadników, popisy błaznów przyjmowano wybuchami śmiechu.

W kilka dni później, imci pan Jaśkiewicz zapłacił ochotnie karę czterogrzywnową, tytułem przekroczenia nakazu panów radziec. Zasię Bogu na chwałę a lwowskiemu miastu na pożytek — ofiarował zacny Ormianin znaczną kwotę na szpital św. Ducha, czynem tym zaślubiny jedynaczki godnie uwieczniając.

Wisława.

Borysław w pow. drohobyckim, najważniejszy teren naftowy w Polsce, posiada około 300 otworów wiertniczych urządzonych sposobem kanadyjskim t. j. z pomocą świdra parowego sięgającego do 1500 m. głębokości.

Oprócz ropy naftowej Borysław posiada wosk ziemny, występujący w szczelinach skalnych. — Złoża wosku ziemnego w Borysławiu pod względem swego bogactwa są jedyne na świecie.



Z MINIONYCH LAT.



Zakład naukowo wychowawczy SS. Urszulanek w Kołomyi. Widok od strony północno-zachodniej.

Niema zdaje się nic gorszego jak napad wspomnień ze szkolnych czasów.

Zarzekłam się, że nie będę tracić energji na „przeglądaniu" przeszłości. Jestem człowiekiem czynu, a marzenia, wspomnienia etc. uważam za rzecz nieproduktywną. Wolę zająć się teraźniejszością.

Ale, dobrze mówi przysłowie, że nawet za siebie ręczyć nie można. Ledwie zajechałam do Gimnazjum Urszulańskiego w Kołomyi, zapomniałam o postanowieniach. Obległ mnie rój wspomnień. Wszystko zdawało się uśmiechać do mnie i przypominać pensjonarskie dzieje.

Nie było chyba zakątka, gdziebym nie zajrzała. Sześć lat upłynęło od mego wyjazdu, a tak wszystko zastałam, jakbym wczoraj dopiero odjechała.

Takie swoje — zaciszne — miłe...

Obeszłam wszystkie klasy. Trochę zmian w urządzeniu — ale to nic. Poznaję każdy kąt i wspomnień moc... Miłe beztroskie lata! Na parterze, jak dawniej — nasza mała kaplica, ołtarz tak dobrze znany — ten sam jak dawniej stoi — i ławki, na których (trochę zatarte) widnieją jeszcze nasze monogramy, kreseczki, literki, nakreślone niechcący w czasie przydługich egzort... Tutaj wkładano nam szarfy czerwone i niebieskie. Tutaj — w różnych tarapatach pensjonarskich znajdowałyśmy ulgę... ale może lepiej pójść dalej.

Oto szereg klas. Jasne, słoneczne pokoje — odnajduję swoje miejsce przy pulpicie — siadam — zamykam oczy. Miłe i mniej miłe lekcje przesuwają się przedemną — wszystkie pochwały, wszystkie bury.

Piętro drugie: sala naukowa pensjonatu, sypialnie, sala rekreacyjna. — O każdem z tych miejsc tomy wspomnień można napisać — ale chodźmy dalej, do parku. Tu na pierwszy plan wysuwa się ukochana statua Matki Boskiej — dalej cieniste aleje, plac tennisowy — a wreszcie „klauzorowy" ogród, gdzie po



Aleja lipowa w ogrodzie zakładowym.

ZAGADKI.

(Z okolic Czortowca)

W lesie ścięte,
w cerkwi zaklęte *)
w rękach płacze.

(Skrzypce.)

(Z okolic Kołomyi)

W jednej wsi rąbią
a drzazgi padają na drugą wieś.

(Dzwony.)

*) W czasie nabożeństwa grać nie wolno.

mistrzowsku robiło się zakazane wycieczki — i krzyż na końcu ogrodu, ulubione miejsce zwierzeń i szczytnych rojeń o przyszłości. Tutaj niegdyś trzy serdeczne przyjaciółki przysięgały sobie, że jedna z nich będzie pustelnicą, druga inżynierem, a trzecia sławną gwiazdą ze szkoły dramatycznej... Los trochę złośliwie obszedł się z młodzieżą... „Pustelnica" stoi dziś na czele licznego pensjonatu — „inżynier" jest wzorową żoną i matką, a „gwiazda sceny" pracuje w skromnem biurze. Tak to bywa z marzeniami!

Mała jest Kołomyja, nawet niektórzy nazywają ją poprostu „dziurą" i uważają, że trudno tam o jakieś „wrażenia". Ale nas nie obchodziło miasto. Życie pensjonarskie niby tak zwykłe, dość obfite było w zdarzenia. Ileż w niem było uciech, strapień, lęków?...

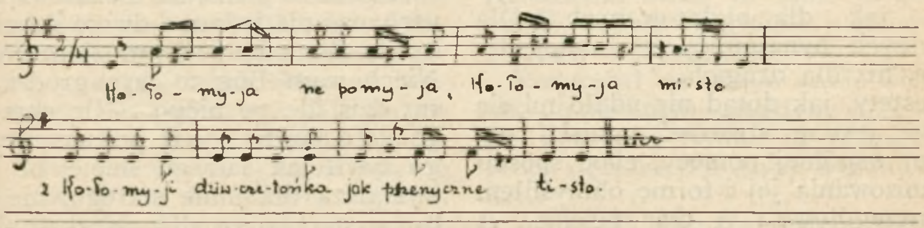
Gdy miną te lata beztroskie, z żalem patrzymy, że tak prędko przeszły — chciałoby się je choć na chwilę zatrzymać, ale niestety to niemożliwe.

S. C.



Figura Matki Boskiej w ogrodzie.

Kołomyjka.



Kołomyja — ne pomyja,
Kołomyja misto.
Z Kołomyi dziwczatońka
Jak pszeniczne tisto.

Kołomyja — ne pomyja,
Misto jak stolicia
Tam dziwczyna jak kałyna
Hoża biłolicia.

Oj i sławna Kołomyja
Taj meżu horami
Oj sławniejsza dziwczynońka
Z czornymi browami.

ZOFJA KOSSAK SZCZUCKA.

S. O. S.

„RATUJCIE DUSZE NASZE"!

(Ciąg dalszy)

...Ale ciężko czekać, — podjął po chwili, — ziemia pali się pod stopami, każdy grosz cenny, każda chwila droga, bo ileż niewiniątek, ileż sierót czeka ratunku... ...Niedola dzieci jest straszliwszą, niż wszystko na świecie, trudniejszą do zniesienia, jest naprawdę krzywdą Boga samego, Boga co ukochał dzieci, a zgorszenie ich napiętnował jako zbrodnię, za którą niemasz przebaczenia... A cóż się dzieje na świecie codziennie? Nie odmieni tego mój sierociniec, będzie kroplą w morzu, ale jednak...

— Myślę też o stworzeniu jakiejś akcji samopomocy wśród dzieci szkolnych, — podjął znowu, — Gdyby każde zamożniejsze zaopiekowało się bodaj biedniejszem, jakież olbrzymie miałoby to znaczenie! Zarówno dla obdarowujących, jak dla obdarowanych. Dla pierwszych bynajmniej nie mniej doniosłe, niż dla drugich.

Niestety, jak dotąd nie udało mi się nigdzie jeszcze stworzyć ogniska podobnej wspólnej pomocy, choć sposób zorganizowania jej i formę obmyśliłem już szczegółowo... A czas ucieka... A tysiące niebożątek czeka daremnie pomocy... Pan nie możesz wiedzieć ile, tak blisko jak ja z nędzą się nie stykając...

— Wiem, owszem, — odparł Radnowski, — w ostatnich czasach właśnie apelowałem kilkakrotnie do moich radjosłuchaczy, prosząc o pomoc dla pewnego chłopaczyny, który przed paru tygodniami napisał do mnie list prawdziwie wzruszający... Bodaj nawet, że go mam przy sobie w portfelu... Pokazywałem go siostrze... Zaraz zobaczę... Oto jest...

Ksiądz czytał uważnie, drapiąc nieogolony podbródek.

— Ależ trzeba mu pomóc jaknajprędzej, — zawołał, skończywszy. Zerwał się z krzesła, jakgdyby gotów już biec. — Zabiorę go do siebie... tylko...

Usiadł znowu zafrasowany, wzrokiem obiegając pokój, jego widoczną w każdym szczególe nędzę.

Lecz Radnowski rozjaśnił się.

— Ach, gdyby ksiądz zechciał uczynić to rzeczywiście, to z kosztami nie byłoby żadnego kłopotu... Moja siostra i ja przeznaczamy na jego utrzymanie sześćdziesiąt złotych miesięcznie. Nie możemy tylko podjąć się opieki nad nim, będąc całe dnie po za domem...

Ależ za te pieniądze można wspaniale utrzymać nie jedno, a dwoje dzieci! wykrzyknął ksiądz z entuzjazmem, — Niech wam Bóg to wynagrodzi... Zaraz dziś idę po niego... Nie skrzywdzę go... To pewna... Nie powiem, że będę go żywił jak samego siebie, bo to co wystarcza dla mnie starego, nie byłoby wystarczające dla dziecka, ale będę go żywił dobrze... Szkoła jest blisko... Zaraz, zaraz po niego idę... Sypiać będzie tu na tem łóżku...

— A ksiądz gdzie?

Ja? — zawahał się przez chwilę, — ja sobie zrobię posłanie na tych książkach, które leżą w pierwszym pokoju jak pan może zauważył. Rozłożę je szerzej, a za to niżej i będzie doskonałe spanie... Papier jest giętki... Dziecko tamby spać nie mogło, bo rośnie, więc musi mieć wygodne łóżko, (najwięcej

podobno rośnie się w czasie snu), przytem dzieci kręcą się przez sen i książki napewno rozjeżdżałyby się na boki... Papier przytem trzyma ciepło... Mówiła mi kiedyś dawna właścicielka pani Wyrobkowa...

— Wierzę najzupełniej, — rzekł Radnowski, z trudem ukrywając rozrzewnienie, — ale ja łóżko dla chłopca przyślę dziś jeszcze. Jest właśnie u nas jedno niepotrzebne. Składam przytem odrazu pieniądze na jego utrzymanie na miesiąc bieżący, a prócz tego, tę trochę, na cegły...

Szczera radość i wdzięczność bezgranic opromieniły takiem światłem twarz starego człowieka, że Tomasz poczuł się nieomal zawstydzonym.

— A teraz, — rzekł, szybko zmieniając temat rozmowy, — skoro załatwiliśmy już tak szczęśliwie sprawę chłopca, chciałbym zapytać księdza o coś zgoła innego... Mianowicie o lokatorów tych z górki, których nie zastałem... Dawno tu mieszkają? Ksiądz zna ich dobrze?

— Mieszkają od dwu miesięcy blisko. Osobiście nie znam ich prawie zupełnie... Zamieniamy czasem parę słów spotkawszy się przypadkowo na schodach... Wyznam szczerze, że z początku nie podobali mi się wcale... Szczególnie Kobuz... Sam nie wiem dlaczego... Pewnie wskutek zwykłej ułomnej natury ludzkiej, co rada szuka złego w bliźnich, nawet bez podstawy... Nic im nie mogę zarzucić... Wody nikomu nie zamącą, cisi, pracowici... całemi nocami przygotuwują się do jakichś egzaminów... Ile razy wracam późno, zawsze ich widzę uczących się... Siedzą kamieniem, jak to mówią... W dzień pracują również...

— Chwała Bogu, — przyznał z ulgą Tomasz, przyjemnie zdziwiony, bo Ilski nie zrobił na mnie wrażenia fanatyka pracy.

— Obchodzą oni pana bliżej? zagadnął staruszek.

Owszem, powiem otwarcie, — (Tomasz sam nie wiedział skąd mu się wzięło na taką szczerość w stosunku do człowieka, którego poznał przed godziną,) — że Ilski obchodzi mnie bardzo. Moja siostra, — (mam dwie siostry, zupełnie do siebie niepodobne,) — zaręczyła się z nim bez mojej wiedzy. Nic o nim nie wiem. Widziałem go raz w życiu.

— Niestety nic bliższego panu o nim nie powiem, ponadto, co już mówiłem. Chłopaki są spokojne, pracowite, akuratne. Nawet ten maleńki czynsz który od nich pobieram, wypłacają punktualnie.

— To już dużo znaczy, — rzekł Tomasz, a spojrzawszy na zegarek jął się żegnać. Staruszek odprowadził go przez plac, rad, że jeszcze może mówić o umiłowanem, wymarzonem dziele. Zdawało mu się, że w ten sposób, stwarzając usilnie myślą jego kształt przyśpiesza urzeczywistnienie.

... — Zrąb będzie równy ze zrębem tej oto świątyni pieniądza, — mówił wskazując ręką na Bank Stowarzyszonych Stowarzyszeń. — Dachy płaskie dla kąpieli słonecznych i gimnastyki... Tu, gdzie teraz stoimy, będzie dziedziniec rekreacyjny. Boiska i plac do gier... Ileż tu będzie gwaru, gdy się cała dzieciarnia wysypie z wrzawą i śmiechem... Będą tu sobie biegać, rumiane, dobrze odżywione, ocalone przed gruźlicą i zepsuciem...

Rozglądał się wkoło siebie wzrokiem tak płomiennym, jakgdyby otaczały go nie pokrzywy bujnie tu rosnące, lecz setka szczęśliwych dzieci wyrwanych nędzy.

...Pomyśli pan, że jestem warjatem, ciągnął, — ale gdyby pan wiedział jak dalece, nieodparcie wiem, że ten gmach stanie. To stokroć więcej niż nadzieja, niż świadomość, — to pewność. Duszębym oddał, aby jego ukończenie przyśpieszyć, ale nie wątpię nigdy w jego realizację...

— Ale tu już jakieś roboty ziemne są zaczęte, — przerwał Radnowski, ukazując szereg szycht poukładanego gruzu i kawałek splantowanego gruntu.

d. c. n.

UŚMIECH ŻYCIA

(Ciąg dalszy)

Lence dużo serca okazuje jej przybrany brat Romek. Powodowany wdzięcznością, gotów spełnić marzenie jej rodziców i Lenki samej, prosząc ją o rękę. Lenka spostrzega jednak, że serce jego żywiej się zwraca do jej koleżanki: Co robić? jak postępować? pyta przełożonej pensji, do której ma szczególne zaufanie.

Stawiam jasno sprawę; jeżeli Romek odwzajemnia mi się równem uczuciem — to nietylko mamy prawo do tej miłości, nie będąc rodzeństwem, ale jest ona niejako usankcjonowaną błogosławieństwem tych, którzy tego pragnęli.

A jeśli Romek kocha Zosię i wzajemnie jej miłość posiada? Wówczas nie mam do niego prawa, nie wolno mi nawet o nim myśleć, jak o bracie.

Droga nakreślona jasno — na nią wejść nakazuje honor, obowiązek, uczciwość względem własnego sumienia i względem tych dwojga. Ale jednocześnie to ruina mego szczęścia...

Zdaje mi się, że w małej łódeczce bez steru i wioseł, bezbronna, dostałam się w wir. Miotana burzą ześlizguję się po falach, które groźne, zielone, z najeżoną grzywą piany czyhają, by mnie porwać, wchłonąć i zatopić w zimnych śmiertelnych objęciach. Ryczą fale, otwierają swe paszcze, ziejące zgubą, grom za gromem uderza w spienione wody, rozpryskując fale. Giną bez ratunku. Nagle... u steru malutkiej łódeczki staje świetlana postać. „Jam jest" — czemu się trwożysz, słabe bezrozumne dziecię?

Słyszę ten głos harfiany poprzez ryki i gromy i... budzę się.

15 sierpień.

Jestem już w Zakopanem. Ojczulek i Romek prześcigają się w okazywaniu mi przywiązania i troskliwej opieki. Serce moje zbolałe coraz częściej skłania się ku biednemu ojczulkowi, którego jedyną winą była — zbytnia słabość. Z Romkiem stosunek jest trochę nienaturalny, wrodzona szczerość nie pozwala mi ukrywać uczuć. Nie umiem tego, robię się wtedy sztuczna, muszę być sobą.

Często w rozmowie sięgamy w przeszłość, do lat dziecinnych do wspólnych figlów i zabaw. Wówczas nazywam Romka z całą swobodą braciszkiem, śmiejąc się razem z nim z tych wspomnień. Jest to moja dyplomacja, bo w tę nazwę, w te obrazy przeszłości mogę spokojnie wkładać całą pełnię uczucia, jest to jednocześnie dla mnie jakby moralne „memento", by nie zapomnieć granicy nakreślonej przez wolę, której przekroczenie równałoby się kompromisowi z sumieniem.

Muszę sobie wyszukiwać sama argumenty do ćwiczenia woli, która chwilami słabnie. Romkowi dogadza taka rola przeze mnie nakreślona. Mam wrażenie, że oddycha swobodniej. Jest wesół i swobodny, wzrok jego rzadziej śledzi mnie z niepokojem i lękiem. Ojczulek promienieje, widząc mnie weselszą i silniejszą, słuchając naszych opowiadań w których takie wykrzykniki jak „pamiętasz to", „pamiętasz tamto" wybuchają co chwila i bez końca. A ja poddaję się biernie temu pogodnemu nastrojowi, ciesząc się w duchu, że potrafiłam tak oszukać tych dwoje, starych dzieci, których miłość dla mnie zrobiła ślepymi.

Jednej osoby tylko nie potrafiłam oszukać pozorną wesołością — niani mojej, która przyjechała z nami, gdyż ojczulek nie chciał mnie zostawić na opiece obcej służącej.

Teraz siedzimy na obszernej werandzie willi „Radosnej".

Ojczulek zatopiony w gazecie, Romek w swoich skryptach, ja w tej bazgra-

ninie do pani i dla pani, a niania z nieśmiertelną pończochą. Porusza machinalnie drutami z błyskawiczną szybkością, ale wzrok jej śledzi mnie uporczywie. Ona jedna domyśla się, że spokój jaki utrzymuję kosztem heroicznego wysiłku — jest tylko pozorem, maską pod którą wre walka...

A koło mnie tak cudownie! Giewont wspaniale króluje nad wszystkiemi szczytami; do jego potężnych boków tulą się mniejsze i niższe szczyty...

Przyroda miała zawsze wielki wpływ na mnie, zespalała się niejako z moją duszą; odczuwam mocno jej piękno i wydaje mi się, że przez nią, lepiej i głębiej rozumiem Boga.

Patrzę teraz na ten dumny szczyt, co się zdaje obłoków imać i myśl mimowoli zwraca się ku niebiosom.

Nieraz w szkole, o szarej godzinie snułam marzenia... Miałam wtedy wyższe cele przed sobą. Dusza unosiła się w zaświaty, wolna od przywiązań, które obniżają górne loty.

Nie przeczuwałam wówczas, że kiedyś między dążeniem do ideału oswobodzonem z ziemskich pęt, a wykonaniem — stanie góra w postaci uczucia, które stanie się przeszkodą realną w dążeniu wzwyż...

Pamiętam, mówiłam wtedy z taką siłą zapału i entuzjazmu, że najbardziej pociąga mnie apostolstwo dusz... Mówiłam o zdobywaniu dusz Jezusowi, o radości jaką mi sprawia widok i pewność, że mam dobry wpływ na koleżanki młodsze i starsze, na najbliższe otoczenie domowe. Wogóle, że lubią mnie ludzie i mogę siać wśród nich dobro.

A ty Pani, powiedziałaś wtedy tak: „Dobrze, dziecko, staraj się wszystkich zadowolić, ale podobaj się tylko Jezusowi". Nie zrozumiałam tego dobrze i nie wiem, czy i dziś rozumiem.

Wielkość Boża przygniata mnie; taka się czuję maleńka, ale wielbię ją, tę Bożą wielkość i podziwiam przedewszystkiem w przyrodzie, tej księdze mądrości.

Podziwiam tę miłość w kropelce rosy, co brylantami skrzy się na listku róży, w ptaszęcym rozgwarze, w brzaskach i zmierzchach, co tak przedziwnemi barwy malujesz, Boże, że klękać się chce w oniemieniu zmysłów nad tą mnogością i bogactwem farb...

W wichrze jesteś potężny, Boże, w gromie, co wyrazem gniewu wstrząsa ziemię i w błyskawicy, co rozdarłszy niebiosa, okazuje ziemi jakieś inne świetlane, piękniejsze światy...

Ojczulek skończył gazetę i nie chcąc przeszkadzać Romkowi w nauce mrugnął, żebym się zbliżyła.

A więc na dziś dosyć, dzienniczku, powierniku starej jak świat, a zawsze nowej historji jednego biednego serca.

Ignis. (d. c. n.)

WŚRÓD KSIĄŻEK

Ferdynand Goetel — *Podróż do Indyj* (Wyd. Gebethnera i Wolffa).

Indje bardziej niż jakikolwiek kraj ziemi, kusiły zawsze człowieka. Indje były magnesem, który pociągał Kolumbowe fregaty po szlakach oceanów, Indjami chciał ozdobić swój djadem Aleksander Macedoński, o Indjach w najskrytszych snach marzyła pycha Napoleona. Indje kuszą uczonych tajemniczą mową Sanskrytu, czarem swych pieśni i epopei, przyrodników bogactwem swych roślin i zwierząt, odkrywców niebosiężnemi szczytami Himalaji. Indje stawiają swe majaki przed oczy wszystkich szaleńców ziemi, goniących za mirażem nauk ezoterycznych. Ale Indje to nietylko kraj tajemniczej przeszłości, starej cywilizacji i mętnych religij: to także ważna dziś stawka polityczna, to oś, koło której obracają się żywotne interesy jednego z najpotężniejszych mocarstw Europy, to ojczyzna tej przedziwnej postaci Gandhiego, wzbudzającej przesadne zachwyty i przesadne napaści. To też o żad-

nym może kraju nie pisano tak wiele, a przyznać także trzeba, o żadnym może nie napisano tylu bredni. Wielu ludzi, nie chcących widzieć prawdy w wiecznie młodem i słonecznem słowie Chrystusa, szukało jej w pomylonych indyjskich naukach o teozofji i reinkarnacji. By poprzeć swoje tezy przedstawiali oni często Indje i ich religijne filozofje jako szczyt ludzkiej myśli, i przeciwstawiali „zdrową kulturę wschodu" — „przegniłej" jak ją nazywali cywilizacji europejskiej.

To też z zaciekawieniem czekali wszyscy na dawno zapowiedzianą książkę Ferdynanda Goetla o Indjach. Wszyscy co znali Goetla z poprzednich jego książek, wiedzieli dobrze, że wielki ten pisarz nie da się uwieść żadnym majakom i sugestjom. Wiedzieli, że jego niepospolita inteligencja zwycięży wszelkie legendy i zakłamania, że potrafi on zobaczyć Indje takimi, jakimi są, w prawdzie ich przeszłości, i w prawdzie teraźniejszości. I nie zawiodła się opinja czekając z niecierpliwością tej nowej książki Goetla. Bo trudno rzeczywiście o obraz bardziej wszechstronny, bardziej prawdziwy, bardziej objektywny, jak ten, który roztacza przed nami Goetel. Nie pominął w nim niczego: ani malowniczych i groźnych krajobrazów, ani zabytków sztuki, ani legend i podań, ani charakterystyki Hindusów, ani stosunków społecznych i ekonomicznych, ani sławnego Gandhiego. Pokazał nam i polityczne stosunki angielskich kolonistów do mieszkańców tubylczych, i nowo powstające miasta, i koleje, torujące sobie drogi poprzez lasy dziewicze i pracę ofiarną i bohaterską katolickich misjonarzy. A książka ta zawierająca tak olbrzymi materjał informacyjny, schodząca do dna każdej kwestji, jest pisana przytem dziwnie żywo i lekko. Czytelnik ma wrażenie, że słucha żywego słowa, jakiegoś pasjonującego opowiadania, opowiadania kolejno to wzruszonego, to zachwyconego, to przeplatanego zdrową ironją i wesołym śmiechem.

A co najwięcej frapuje w tej książce nietylko ciekawej, ale i literacko wyjątkowo pięknej, przykuwającej do siebie jakimś specjalnym urokiem, to postawa myślowa autora. Nie dał się on uwieść żadnym tak dziś modnym snobizmom „wschodnim". Z całą trzeźwością człowieka, wykształconego na silnej kulturze zachodniej, kulturze chrześcijańskiej, z odwagą cywilną swych przekonań sądzi jasno i rozumnie całą mętność i niedorzeczność, a często i szalbierstwo, osławionych religij wschodu, fakirskie podejrzane cuda i rzekomą pobożność tybetańskich mnichów. W zestawieniu z tym mrocznym wschodem, którego niezdrowe opary zatruwają dziś tak często wyższe nawet inteligencje — Goetel ocenia w pełni wielkość zdrowej, jasnej, kultury zachodniej, ocenia jej chrześcijańskiego ducha i chrześcijańską tradycję.

To też nietylko z żywą przyjemnością ale i z prawdziwą korzyścią czytać będzie każdy młodszy czy starszy tę mądrą i piękną książkę.

Zofja Starowieyska-Morstinowa.



Stara Hucułka z fajką w zębach opowiada nam tejemniczą historję (str. 37).

WIADOMOŚCI MISYJNE

„UT ADVENIAT REGNUM EIUS!”

W bieżącym miesiącu Ojciec Święty wzywa cały świat katolicki do modlitw o wzrost zapału misyjnego wśród wiernych.

Czy możemy być obojętni?

Chrystus pragnie zjednoczyć pod Swem berłem wszystkie narody świata. Lecz królestwo samo do rąk panującego nie przyjdzie — władzę nad ludami wywalczają rycerze. Sakrament bierzmowania pasował nas na Chrystusowych rycerzy więc — do nas należy walka o Jego Królestwo; Królestwo nieśmiertelnych dusz, które On Krwią Swą odkupił. 1900 lat od tej chwili minęło — a jednak po tylu wiekach ileż miljonów imienia Zbawcy nawet nie słyszało!

Idą więc dzielni wyznawcy Chrystusowi do tych ludów pogrążonych w ciemnościach bałwochwalstwa — i męczeństwem nieraz przypłacają ukochanie idei misjonarskiej.

O zrozumienie tej idei chodzi właśnie.

Dobro — i zło mają w sobie jakąś dynamiczną siłę; muszą się rozszerzać, rozlewać — i dlatego wre ciągła walka o zwycięstwo. Dobro zwycięży, ale trzeba mu rycerzy bohaterów. Przeciwna strona ma tylu fanatyków... A my którą partję wzmocnimy?

Dziś coraz więcej deklarują się te dwa obozy. Obojętnym nie może być nikt. Nie chodzi o walkę na miecze — chodzi o walkę czynu, czy będzie on w formie myśli, słów — czy zewnętrznego działania. We wszystkiem chodzi o to znamię moralnego dobra.

Więc do dzieła! Zacznijmy od siebie — a światło pójdzie dalej. Wywalczymy Chrystusowi liczniejsze zastępy czynem i modlitwą; ona dosięgnie tych bojowników w dalekich krajach, jeśli nie pójdziemy sami.

Adveniat regnum tuum!

Nowe Seminarjum apostolskie w Alway na wybrzeżach Malabaru, w Indjach angielskich

W roku 1657 wylądowali na wybrzeżu Malabaru pierwsi Karmelici bosi, wysłani przez Stolicę apostolską, aby prowadzili dzieło misyjne. Verapoly stało się punktem centralnym ich pracy, a ideałem było otwarcie seminarjum dla wychowania kleru tubylczego. Realizacja projektu ziściła się w końcu XVIII stulecia dopiero, ale rewolucyjne inwazje francuskie w Tipu, konfiskata funduszów Świętej Kongregacji Rozkrzewienia Wiary w Rzymie, ledwie pozwoliły wegetować zbożnej instytucji. Dopiero w r. 1866 ustalił się byt seminarjum, przeniesionego do Puthenpaly, którego wzrost i rozkwit najmiłościwiej został uznany za wyborny, przez wymienioną wzwyż Kongregację i podniesiony do godności: „Centralnego Seminarjum, dla kleru obrządku Syryjsko-łacińskiego Malabaru“. W r. 1925 liczba studentów doszła do 150, a ciasnota budynków nie pozwoliła przyjmować licznych ochotników.

O wzniesieniu nowych, dodatkowych gmachów nie było co myśleć, bo i brak pieniędzy i malarja, naniesiona powodziami poprzednich lat, zniechęcały do stabilizacji.

W kłopocie mnożono nowenny do Św. Teresy, Patronki misyj. Jego Eminencja Kardynał Lépicier Wizytator apostolski Indyj, odczuwając żywo ważność sprawy, tak dla chwały Bożej potrzebnej, przedstawił troskę misji karmelitańskiej Ojcu Świętemu, który w sposób najgorętszy, ofiarował na ten cel znaczny fundusz, zapisany na dzieła apostolskie i pochwalił projekt przeniesienia seminarjum w zdrowszą okolicę.

Zaledwie zapadła ta decyzja Namiestnika Chrystusowego, a już otrzymał Ojciec Rektor dar naprawdę wspaniały, w postaci 18 hektarów ziemi w Alway w Travancort Ofiarodawcą jest Jego Ekscelencja Ks. Józef Ribeiro Biskup Cochin'u.

W roku 1932 ukończono budowę trzyskrzydłowego gmachu, mieszczącego 400 studentów, a 28 stycznia b. r. nastąpiło uroczyste poświęcenie i przyjęcie tytułu własności przez Ks. Arcybiskupa Leona Kierkels, Delegata apostolskiego Indyj, który przybył w otoczeniu 12 Biskupów i Arcybiskupów (z tych połowa Karmelitów bosych) i licznych dostojników kościelnych i świeckich.

Po uroczystem nabożeństwie — w ogromnej auli, Ojciec Rektor wręczył Delegatowi Papieskiemu dwa klucze, od bramy gmachu i od kaplicy — zaznaczając, że są one symbolem synowskiego posłuszeństwa i oddania.

Ojciec Święty raczył depeszą uradować serca misjonarskie.

Oto treść telegramu:

„Augustus Pontifex, seminarium apostolicum istic inaugurandum".

Seminarjum łączy się ściśle ze studjami pozascholastycznemi i obejmuje Stowarzyszenie literackie, Akademję Paulistyczną i Ligę Serca Jezusowego dla prac czysto misyjnych (Sacred Haart Conversion League).

Katedry obsługiwane przez 18 profesorów (13 Karmelitów bosych, 5 kapłanów tubylczych) reprezentują naukę przyrodniczą, historję, Hinduizm, socjologję, ekonomję polit., łacinę, grekę i języki syryjski, sanskryt prócz filozofji, teologji i prawa kanonicznego. Do tych siedmiu lat studjów seminaryjnych, dopuszcza się studentów o powołaniu kapłańskiem, po ukończeniu przez nich wyższej szkoły angielskiej.

Z RÓŻNYCH STRON

Z Charbina. Zaszedł tu smutny wypadek porwania przez chunchuzów, t. j. chińskich bandytów, jednej z wychowanek angielskiego Kolegjum SS. Urszulanek, oraz jednego ucznia gimnazjum im. Henryka Sienkiewicza.

Według chińskiego wiedzenia dziewczynki przynoszą nieszczęście, więc chunchuzi odesłali na drugi dzień porwaną, ale żądając wysokiego okupu, którego rodzina złożyć nie mogła. Nie wiemy jeszcze jak się ta sprawa zakończyła. Gorsze jest położenie chłopca, którego jeszcze ukrywają, zapewne, celem wyłudzenia drogą męczarni jeszcze większej opłaty.

W Szechwau — w Chinach Zachodnich znajduje się w niewoli chunchuskiej ośmiu kapłanów katolickich, o których również nie można dostać wiadomości.

Otwarcie Salezjańskiej Wystawy Misyjnej, w podziemiach Bazyliki Najśw. Serca Jezusa na Pradze — w Warszawie — nastąpi 15 października b. r. po sumie. — Wystawa otwarta przez tydzień, okaże zwiedzającym wiele ciekawych eksponatów nadesłanych przez salezjańskich misjonarzy z Indyj, Chin, Japonji, Patagonji, Brazylji, Ziemi Ognistej, Kongo i in. — Otwarcie wystawy jest wstępem do uroczystości jubileuszowych stowarzyszenia Młodzieży Misyjnej, których punkt kulminacyjny stanowić będzie kongres młodzieży w sam dzień Niedzieli misyjnej t. j. 22 b. m.



Z Charbina. Ks. Dassier w otoczeniu polskich i chińskich dzieci z wychowawczego zakładu S. S. Urszulanek. Na lewo siostry Chinki. W głębi S. S. Urszulanki.

Nadesłano do Redakcji:

Erenus: **Bóg Panem naszym**: Bibljoteka Wieczornicowa nr. 34. Poznań, 1933. Nakł. „Ostoi". Temat wieczornicy obraca się dokoła hasła Episkopatu o walce z nowoczesnem pogaństwem. Korzystać zeń można z okazji wieczornic na uroczystość Chrystusa-Króla i „Święto Młodzieży".

Dr. Marjan Wachowski: **Skrzynka zapytań.** — Szare książeczki S. M. P. nr. 3. Poznań 1933. Nakł. „Ostoi".

WŚRÓD KSIĄŻEK

Ciąg dalszy ze str. 46.

Jerzy Marlicz — *Bractwo białego lamparta* (opowieść kolonjalna). Wydawnictwo Księgarni św. Wojciecha.

Czy nie zdarzało wam się drogie czytelniczki wodzić rozmarzonem okiem po kartach atlasu? przemierzać błękity jego oceanów, śledzić kapryśny rysunek wybrzeży i chcieć wyczytać z zagmatwania martwych linij tajemnicę tych dalekich nieznanych krain, kolorowych ludzi, niewidzialnych nigdy gwiazd?... Czy nie tęskniłyście nigdy za widokiem upajających kwiatów, purpurowych owoców, tęczowych motyli, za grzmotem olbrzymich wodospadów, za nieuchwytnym cieniem lian i za groźnym a tajemniczym głosem podzwrotnikowej nocy? Nie wiem jak wy. Ale przyznam się, że ja nieraz z żalem myślałam o bogactwie i barwności tych krain i żyć, których nie będzie mi danem nigdy oglądać. To też gdy nie mogę ogarnąć okiem wszystkich kuszących barw ziemi — lubię się przenosić przynajmniej wyobraźnią w te światy dziwne jak bajka, a jednak tak zupełnie prawdziwe. Może wskutek tej tęsknej ciekawości z takiem zainteresowaniem czytałam powieść kolonjalną młodego pisarza, Jerzego Marlicza „Bractwo białego lamparta". W doskonale skomponowanej fabule powieściowej przedstawia nam autor perypetje młodego Polaka w Belgijskiem Kongo. Żywość i plastyczność opowiadania sprawiają, że te przedziwne przygody wydają nam się proste i naturalne. Bo choć autor fabułę swoją napewno wymyślił, rzucił ją jednak na tło rzeczywiste, choć tak bardzo egzotyczne, a jakże bardzo ciekawe! Te opisy stosunków panujących między białymi a murzynami, opisy murzyńskich wierzeń, obyczajów i obrządków, opisy tkwiących w mule rzecznym krokodyli, płonących stepów, zalewających świat drugim potopem podzwrotnikowych deszczy, noszą na sobie tak nieomylne piętno prawdy, że ani na chwilę nie wątpimy w ich autentyczność, choć bawimy się ich nieprawdopodobieństwem.

To też czytelnik poważniejszy z tej interesującej książki Marlicza wyniesie coś więcej jak rozrywkę: wyniesie z niej obraz kraju i gdy na mapie zobaczy barwną plamę oznaczoną napisem „Kongo Belgijskie" — nazwa ta nie będzie już dla niego oderwanem pojęciem geograficznem, ale krajem prawie że widzianym, krajem znanym, krajem pulsującym swem własnem życiem, pachnącym całym czarem bujnego podzwrotnikowego życia.

Zofja Starowieyska-Morstinowa.

TREŚĆ N-RU 2:

WARUNKI PRENUMERATY ROCZNIE 7 ZŁ.
Numer pojedynczy 0·75 zł.
Konto P. K. O.: „Dziś i Jutro", Nr. 404.930.
Wydawca i odpowiedzialny redaktor:
Julja Felicja Bronikowska.
Adres Redakcji: Kraków, ulica Starowiślna 11.
Drukarnia „Powściągliwość i Praca" w Krakawie.